

Maria Dąbrowska

Marcin Kozera

Nieznajomy chłopiec

Działo się to przed pierwszą wojną światową. Nikt z was nie pamięta tych czasów, lecz ja pamiętam dobrze różne rzeczy, które się wtedy działy. Jednej z nich posłuchajcie.

Daleko stąd z pienistego oceanu wynurza się, jak wiecie, wyspa, na której dumnie powiewa sztandar Anglii. Londyn jest olbrzymią stolicą tego kraju.

Otóż w Londynie, na uboczu, w hałaśliwej dzielnicy biedaków jest plac, który się nazywa Charles Square[]. Miejsce to nie jest wesołe, bo domy, które tam stoją naokoło, są prawie czarne. A gdy wiatr porozpościera nad placem dymy fabryk, niebo nad nim staje się także czarne. Ale na środku placu rosły w owym czasie drzewa, rosły na trawie, która zieleniła się prześlicznie i jaskrawo aż do Bożego Narodzenia - co niechże was nie dziwi, gdyż w Anglii zima jest bardzo łagodna.

Przypuszczam, że drzewa te rosną na Charles Square do dziś dnia, choć tyle rzeczy na świecie się zmieniło i choć nie mogę sobie przypomnieć, jakie to były drzewa: Pamiętam za to, że w pobliżu tego placu mieszkało wtedy dużo Polaków.

Byli to przeważnie robotnicy, którzy pracowali w londyńskich fabrykach od wielu lat, a ich dzieci chodziły do angielskiej szkoły i powoli zapomniały mówić po polsku. Więc żeby nie zapomniały, rodzice kazali im biegać wieczorami na Charles Square, do Towarzystwa Polskiego, które tam dzierżawiło mały, narożny dom. W domu tym, w pokoju obok dużej sali, dzieci uczyły się po polsku, bawiły się; śpiewały.

Dom Towarzystwa Polskiego nie był pomalowany na czarno, tylko na czekoladowo. Nad jego wejściowymi drzwiami był daszek, jakby ganeczek, a na daszku wielki, drewniany koń czerwonego koloru.

Nie było to może ładne, ale należy przyznać, że czerwony koń miał w sobie niemało życia. Rwał co się zowie z kopyta - w nadaremnej, a jednak niewyczerpanej nadziei, że w końcu uniesie czekoladowy dom i wywiezie go w jaką weselszą stronę świata.

Dzieciom jednakże było wesoło tu właśnie, na tym placu. Lubiły przybiegać tu wcześniej, zanim jeszcze drzwi Domu Polskiego zostały otwarte. Wtedy bawiły się dokoła ogrodzonego sztachetkami zielonego skweru.

Pewnego dnia pragnąc nakarmić konia na daszku dzieci rzucały w niego liśćmi, które spadły na bruk z drzew zielonego skweru. Czerwony koń galopował bez ustanku, nie zważając na te zabiegi i na gorące błagania dzieci. Wtem jeden liść zaczepił mu się jakoś u pyska.

- Żre! - wykrzyknęły dzieci; stanęły i zamilkły.

Liść powiewał przez chwilę koło rozdętych nozdrzy konia i opadł.

Dzieci znów zakrzyzczały.

- Jedz! - wołał Wicek. - No, łap; o, ty czerwona niezdaro!

Lecz koń jednak nie chciał jeść i zabawa stawała się nudna - zaczęła nawet przeszkadzać.

- Nie ćpaj, bo mi w oczy leci! - krzyczała Zosia. - Tu się ziemia sypie z tymi liśćmi. Wicek, przestań, bo jak cię bęcnę! - wołał Felek i tupał.

Nacia się oburzyła.

- O, jak to mówi! - rzekła.

- Albo przestaniesz, albo ci dam!

- To się usuń, ty, Felek, belek, serdelek!

- Co się kłóćcie? Ja tam idę patrzeć na trawę - oznajmiła im Krysia.

W takim razie wszyscy będą patrzeć na trawę. Poskoczyli do skweru i patrzyli przez sztachetki. Lecz patrzeć to jest nic - Władek powiedział, że dostanie do trawy ręką przez płot, jak się mocniej przechyli.

- Co ty robisz, Władziura!

- Ja cię potrzymam za nogę. Jazda!

- Poszedł! Z utrzymaniem to żadna sztuka. Bo jak kopnę!

- Well, jak nie, to nie. Ale nie dostaniesz.

- Dostanę - o!

- Wpadniesz, i tyle. O, jaki nieusłuchany.

Władek wykrzyknął: - Nie wpadnę! - i w tejże chwili wpadł fiknąwszy kozła.

Zobaczywszy go leżącego na miejscu, gdzie nie wolno było nawet chodzić, dzieci uciekły. Gdy rozbiegły się, z ławki przed Domem Polskim zerwał się jakiś chłopiec. Siedział on tam już dosyć długo, nie sam nawet, lecz z kimś dorosłym i już niemłodym. Patrzył na dzieci i gwizdał. Teraz jednakże podbiegł i wyciągnął obydwie ręce do Władka. Były to mocne ręce i wsparłszy się na nich Władek w dwóch skokach wydostał się ze skweru.

Widząc to dzieci powróciły niezwłocznie i chciały pokazać, że nieznajomy chłopiec zbyt poważnie wziął wszystko. To była po prostu zabawa. Wszyscy potrafią podać rękę dziecku, które wpadło na skwer. Ażeby tego dowieść, Stefan i Leon zwyciężając strach wpadli tam kolejno, a dzieci pomagały im się wydostać. Przy tym udawały, że nie widzą obcego chłopca, ale ukradkiem spoglądały na niego. Biegając potrącały go lekko, żeby się martwił, że nic sobie z niego nie robią.

Ale on się nie martwił. Przeciwnie, uśmiechał się jak łobuz, a co najgorsze, gwizdał. Gwizdząc odszedł, gwizdząc siadł obok starszego pana i gwizdząc patrzył na dzieci.

Gdy to trwało przez jakiś czas, dzieci przestały się bawić, stanęły wszystkie przed ławką i ze skupieniem, w milczeniu przypatrywały się nieznajomemu. Nie wiedziały, czy starszy pan należał do chłopca, czy był tu sobie sam. Siedział z rękami założonymi na piersiach i niekiedy kołysał się naprzód i w tył jak ludzie, którzy czekają u doktora i są zatopieni w niespokojnych myślach o tym, co się będzie działo za chwilę. Zdawał się nie słyszeć gwizdania, które mu się rozlegało nad uchem. Nagle gwizdzący chłopiec powstał i pobiegł na drugi róg placu, gdzie gazeciarz chodził tam i na powrót przed swym kramikiem, wykrzykując ponurym głosem nowiny wieczorne.

Dzieci popędziły tam również, znów stanęły i milcząc badały, co to wszystko ma znaczyć: To nie znaczyło nic. Nieznajomy chłopiec rozmawiał po prostu z gazeciarzem. Przez ten czas zrobiło się prawie ciemno.

Na drugim rogu placu handlarz wody sodowej i pieczonych kasztanów zapalił swoją latarkę. Na trzecim rogu zebrał się oddział Armii Zbawienia i zaczął nucić pieśń:

Naprzód, żołnierze Chrystusa,

idziemy jakby na wojnę

podczas gdy na czwartym rogu placu zabłyśły światła w Domu Polskim i dzieci rozpoczęły lekcję. Starsze pisały dyktando, a pani chodząc powtarzała:

- Jesienią liście żółkną i opadają. Jesienią... Jesienią... Liście... Liście żółkną...

Wtedy drzwi się nagle otworzyły.

Wszedł starszy pan z ławki przed domem, a z nim gwizdzący chłopiec, który już teraz nie gwizdał i wydawał się nareszcie zakłopotany.

Na ten widok dzieci zaczęły się trącać i spoglądać na przybyłych, wodząc piórami na oślep, tak że stalki zgrzytnęły i wielkie kleksy pousiadały na dyktandzie.

- To on mnie wyciągnął ze skweru, to ten! - wykrzyknął Władek, a Krysia myślała z pociechą, że kleks jej usiadł na słowie „żółknie” tak, że teraz ostatecznie nie wiadomo, czy jest przez ó, czy przez u...

Starszy pan rzekł, wyciągając rękę w stronę pani:

- Nazywam się Kozera, proszę pani; Stolarz Mateusz Kozera, proszę pani.

- Tak - uśmiechnęła się pani. - Czym panu mogę służyć?

- Służyć? Wcale nie - rzekł pan Kozera patrząc błędnie i nagle przerwał sobie i uklonił się w stronę dzieci.

Dzieci parsknęły śmiechem, a potem w mgnieniu oka ucichły i wstały, poczuwszy na sobie zrozpaczone spojrzenie pani.

Pan Kozera zobaczywszy to zaśmiał się też króciutko i od razu przestał. Obtart sobie wąsy, jakby tylko co jadł, i chrząknął.

- Czego sobie szanowny pan życzy? - zapytała pani ponownie, nachylając się grzecznie.

- Odpowiem pani, że chciałbym, żeby mój syn, Marcin, proszę pani, przychodził się tu uczyć - wygłosił pan Kozera i na koniec wydało się, że odpoczął.

- To ten sam chłopiec! Ja pani opowiem! Ten sam! Myśmy słyszeli, jak gwizdał - nawoływał Władek.

- Uspokój się, Władziu. Wstyd mi robisz przy ludziach. - Tu pani zwróciła się znów do obcych:

- Ma się rozumieć, bardzo dobrze proszę pana, niech ten Marcin chodzi do szkoły. Ile masz lat, dziecko? - spytała się pani, jak zwykle pytają się panie w takich wypadkach: - Co już umiesz?

- I don't understand[] - odparł chłopiec po angielsku.

Gdy młody Kozera to powiedział, zrobiło się zamieszanie.

- On nie umie po polsku! - krzyczał z rozpaczą starszy pan. - Czy jeszcze pani tego nie mówiłem? On przecież nie umie wcale po polsku!

- Tak, widzę - rzekła pani mocno zmieszana. - Cóż to będzie?

Stolarz Kozera usiadł na ławce między dziećmi, położył na szkolnym stole kapelusz, laskę i fajkę.

- Otóż to! Otóż to! Co to będzie? - przytakiwał i przygnębiające milczenie zaległo klasę.

Młodszy Kozera nic nie rozumiał, ale patrzył, jak wszyscy stroili różne miny, i nagle wybuchnął śmiechem. Zadarłszy głowę do góry zataczał się po prostu ze śmiechu. Ścisnął usta rękami, lecz śmiech wytrysnął spod palców, czarna czupryna jeżyła się nad czołem, a oczy znikły z uciechy. Było to zaraźliwe i cały pokój śmiał się wnet jak szalony. Pani odwróciła się do okna i wpatrzyła się z natężeniem w kopyta galopującego konia, usiłując pohamować nieodpartą ochotę do wzięcia udziału w tej wesołości. Tylko pan Kozera się nie śmiał. Zdumiony i rozgniewany zbierał swą laskę, kapelusz i fajkę, ale zebrawszy, nagle rozsypał wszystkie te rzeczy, podskoczył do syna i chwycił go za kołnierz.

- Wstyd! - krzyczał do niego po angielsku. - Co za głupiec z ciebie! Przestań! Przestań! - i trząsł go ze wszystkich sił.

Przestali wszyscy. Śmiech przeobraził się w gwałtowny zgiełk.

Władek stał już na stole i darł się tupiąc:

- Niech mu pani nie da nic zrobić! On mnie wyciągnął. Nie mówiłem? Mówiłem, że mnie wyciągnął!

- Proszę pana, niech pan puści chłopca! - krzyknęła pani. - Dzieci, spokojnie! - i ruszyła ku dzieciom. Idąc potrąciła łaskę pana Kozery, a łaska warcząc pomknęła wzdłuż pokoju.

Co do kapelusza, to Jurek pochwycił go i wsadził na głowę, a co do fajki, to też zgrabnie znalazła się w jego zębach. Udawał, że ją pali. Trzeba było i jego przyprowadzić do porządku.

- Jurek, cóż to za maskarada. Proszę mi zdjąć kapelusz!

Władek zerwał z głowy Jurka nieszczęśliwy kapelusz krzycząc:

- Ja mu podrę kapelusz, temu panu! Ja mu podrę kapelusz!

- Władek! Ze stołu mi natychmiast!

Pani nie wykrzyknęła już tych słów. Powiedziała je cicho i z taką grozą, że Władek, którego specjalnością było wpadać i spadać, zleciał w mgnieniu oka na ziemię, co go zupełnie wytrzeźwiło. Dzieci zdusiły w sobie śmiech i milcząc patrzyły błagalnie w plecy pani, która odeszła z gościem do okna.

Pan Mateusz Kozera łamał ręce nad synem.

- O, co ja cierpię - mówił. - Ja już widzę, że nigdy nie będę mógł jechać do Strzałkowa. Na co się ten chłopiec na świat rodził?

- Co też pan wygaduje? - oburzyła się pani. - I w ogóle po co takie awantury? Przecież chłopiec może się wszystkiego nauczyć.

Mówiąc to pani poczuła, że coś dzieje się za nią. Odwróciła się i zobaczyła, że Marcin płacze.

Dzieci patrzyły wystraszone, jak stał błądzący, a z oczu płynęły mu strumienie łez. Po chwili zaczął szlochać Władek. Wybiegł nawet na środek pokoju i prosił:

- Niech go pani przyjmie! On się nauczy! On płacze! On płacze!

- Jeszcze do tego płacze! - wykrzyknął pan Mateusz po angielsku.

- Ja nie płaczę - zaprzeczył Marcin hardo. - To katar. Odwrócił się do okna i mocno wytarł nos. Po prostu zatęchło - i to zaraz przywróciło wesołość.

- Ja widzę, że muszę już pani wszystko powiedzieć, jak jest prawdziwie. Matka mu umarła, widzi pani, jak miał dwa lata. Mieszkamy u tutejszych ludzi. Ciągłe się jest z Anglikami. Mnie już też jest, powiem pani, ciężko znaleźć słowo, jak chcę mówić po polsku. Ja już trzydzieści lat nie byłem w Polsce. Co pani na to powie? Czy pani kiedy na to przyszło, żeby tak trzydzieści lat być między obcymi?

- Nie, nigdy mi na to nie przyszło - rzekła pani zakłopotana, gdyż miała dopiero dwadzieścia jeden lat.

- No, widzi pani. Otóż powiem pani, że mam już tego dosyć. Tak było, jakbym się przyzwyczaił, i wtem zrazu się okazało, że się nie przyzwyczaiłem i nie przyzwyczaiłem. Teraz nic nie chcę, tylko wracać. Do Strzałkowa. Pani wie, gdzie to Strzałków? - zagadnął ciszej.

- Nie. To taka wieś?

- Wieś. Ho-o, jaka to wieś. Bardzo porządna wieś, pastwisko ma zaraz, rzekę. Ja się tam nie boję ani o zarobki, ani o nic: Za łaską Boską nie powrócę bez grosza.

- No, ale cóż ten Marcin?

- No, niech pani sama powie. Ja mam tam rodzinę. Jak ja tam powrócę z takim synem, co nic po naszymu nie umie powiedzieć?

Pani zaśmiała się.

- Ba, trzeba było wcześniej o tym pomyśleć - rzekła.

- Racja. Pani ma rację. Pani dobrze powiedziała. Od razu, jak ten głupi zaczął tu żarty stroić, zaraz pomyślałem, że pani go nie przyjmie.

- Ależ ja mogę przyjąć. Tylko że to już duży chłopiec, ma ze dwanaście lat. Może woli pozostać Anglikiem?

- Marcinie - zwróciła się do chłopca po angielsku - czy chcesz tu przychodzić i uczyć się z nami polskiego?

Nastąpiło zatroskane milczenie. Oczy wszystkich dzieci zatrzymały się na ciemnowłosych ustach Marcina.

On zaś patrzył po kolei na wszystkie dzieci - obrażony i rozgniewany. Jego błyskające oczy mówiły: Nie.

- No, odpowiedz - poprosił go ojciec.

Chłopiec zgromił ojca spojrzeniem pełnym żalu i odwrócił się nieco.

Wtedy napotkał oczy pani, które zaczynały się do niego uśmiechać.

Pomilczał jeszcze chwilę i nagle powiedział niepewnie:

- Yes[]. - I nie odrywał wzroku od pani, jakby się bał, że gdy ją straci z oczu - zwycięży w nim złość i powie - nie.

Tak się odbyło wkroczenie Marcina Kozery do polskiej szkoły na Charles Square w Londynie.

copyright © 2002

Wszystkie prawa zastrzeżone

Marcin Kozera

Wyprawa z Krysią

Marcin Kozera uczył się po polsku niby to pilnie, a jednak bez przekonania. Co mu jednym uchem wleciało, to drugim wyleciało, nie zatrzymując się w sercu.

- To jest okno - mówiła pani uroczyście, pokazując okno.

- To jest okno, proszę pani - powtarzał Marcin z tą samą niezmaconą powagą.

- Czy to jest także okno?
- Nie, to jest drzwi - mówił Marcin.
- To są drzwi. Nie można mówić: to jest drzwi.
- To są, proszę pani.
- Ile okien jest w tym pokoju?
- Tu jest, nie, tu są dwa okna.

Dzieci tymczasem, sapiąc z pilności, pisały kaligrafię:

A ten kotek bury łapie myszy, szczury.

A ten kotek bury łapie myszy, szczury.

I pod tym znowu:

A ten kotek bury...

Pani namyślała się, a Marcin stał wyprostowany, greczny, gotów do odpowiedzi.

Ale ona o nic nie zapytała, tylko patrzyła tak długo, że Marcin zaniepokoił się i rzekł po angielsku:

- Don't be sorry[].

Nie, nie gniewała się. Przeciwnie, drżała w głębi duszy przed Marcinem, o czym on nic a nic nie wiedział.

Drżała, bo nie nauczył się jeszcze po polsku, a już postawił do góry nogami całą szkółkę. On pierwszy wylazł przez okno pierwszego piętra na dach ganku i naprawdę dosiadł czerwonego rumaka. Co za straszliwy przykład! Od tego czasu okno nad daszkiem musiało być różnymi wymyślnymi sposobami na głucho zamykane.

On przyniósł do sali swą piłkę futbolową, która potłukła naczynia w bufecie Towarzystwa Polskiego. On dawał pomysły do zabaw, które groziły rozniesieniem całego domu.

Dzieci oszalały dla niego i mówiły w jego towarzystwie coraz lepiej... po angielsku. Gdyż mówić tak, jak Marcin i patrzeć tak, jak Marcin i wszystko czynić tak, jak on - to było szczęście. Był prawdziwym przywódcą, co do tego nie było dwóch zdań.

Zaś on sam lubił Krysię. Była mu zawsze na coś potrzebna. Chciał z nią zawsze coś dzielić. Spotykali się z sobą koło domu, gdzie Krysia mieszkała.

- Chodź - rzekł do niej pewnego dnia. - Pokażę ci Tamizę.

- Co to jest Tamiza?

- Co, ty nie wiesz? Przecież Londyn jest nad Tamizą. Tylko że to jest daleko stąd. Ale ja trafię. Wiem, jak się jedzie.

Krysia miała nowe wstążki we włosach.

- Jak to jest tak daleko - rzekła - to mi jeszcze przez drogę zlecą i zgubię.

- Po co masz zgubić? Wcale nie zgubisz. Patrz, mam tu cztery pensy na tramwaje. Spiesz się, bo mamy mało czasu.

- Na wszelki wypadek włożę je do kieszeni.

- Co włożysz?

- No, te wstążki.

- No to włoż je na wszelki wypadek do kieszeni. Chcesz, to ci tymczasem zawiążę warkocze sznurkiem.

- No dobrze. A dzieciaków nie zabierzemy?

- Wszystkich i tak nie można zabrać. Tam tłok, śródmieście. Rozumiesz, co to jest? Jeszcze nam się pogubią i kto będzie winien?

Gdy Krysia wywędrowała z Marcinem ze znajomych zaułków na ogromne ulice, straciła głowę i trzymała się go tak kurczowo za ramię, że aż go to bolało. Ale Marcin nie mówił, że to go boli, bo wiedział, że jej tak raźniej - i że to nienaumyślnie. Rzekł nawet:

- Trzymaj się jeszcze mocniej.

Gdy nadjechał autobus, weszli po schodkach na górną platformę. Autobusy kursują po londyńskim śródmieściu zamiast tramwajów, które tam chodzą jedynie na przedmieściach. Na ulicy, którą przejeżdżali Marcin i Krysia, było ich tak dużo, że wypełniały całą jezdnię i zaledwie się mogły poruszać. Naokoło nad wszystkimi domami sterczały wszędzie olbrzymie reklamy handlowe wsparte na drągach. Okna domów błyszcząły w ciemnożółtym jesiennym słońcu, przez chodniki sunęli ludzie ogromnymi tłumami. Gwizd i ryk sygnałów automobilowych, krzyk ulicznych sprzedawców, łoskot motorów w samochodach - oto był zamęt, w który dostała się Krysia. Znała to wprawdzie i ze swojej dzielnicy - lecz na znajomych miejscach wszystko wydaje się mniej straszne.

- Teraz wysiadamy! - krzyknął na koniec Marcin prosto w jej ucho. - Tak, to na pewno tu!

- Ale na pewno? - spytała Krysia.

- No, mówię przecież. Hop! A teraz idziemy w tę stronę.

Szli jakiś czas, mijając z trudem rozmaite ulice.

Z jednej z nich wynurzyli się na miejsce bardzo przestronne.

Dokoła nich zrobiło się spokojnie i uroczyście. Roztoczyły się przed ich oczami wspaniałe aleje, prawie że puste. Stały tylko na nich drzewa w złocistych liściach - a wzdłuż jednej alei płynęła w szerokich wałach z kamienia prześliczna rzeka.

Woda w niej mieniła się jak tęcza - i powietrze nad nią mieniło się tak samo, nasycone mgłą i blaskami słońca.

- Jak tu dużo miejsca. Tu by się można było dopiero we wszystko bawić - szeptała olśniona Krysia.

- A patrz tu - rzekł Marcin i pokazywał jej ogromne statki sunące przez cichą wodę w chmurach dymu. Pokazywał jej mosty, jak przerzucały się przez rzekę, jeden za drugim niknąc w liliowej mgle.

Wstąpili na jeden z tych mostów i przeszli na drugą stronę aż pod olbrzymi, rozłożysty gmach, ale tak olbrzymi, że Krysia znowu się przestraszyła i Marcin znowu musiał powiedzieć:

- Trzymaj się jeszcze mocniej. - Krysia myślała, że to jest zamek śpiącej królowej, poobrastany dziką różą, z której liście opadły. Był bowiem cały najeżony jak gdyby kolcami i cierniami.

Krysia nie wiedziała, na co to, ale to było piękne. Tak piękne, że aż się serce zżymało.

- Tam to chyba król mieszka - domyśliła się z cicha.

- Wcale nie - odparł Marcin. - Ten pyszny pałac to nasz parlament, a tu patrz, to nasz najwspanialszy kościół, opactwo westminsterskie. O, patrz! O, patrz! Jaka Anglia jest piękna! Jaki ten Londyn! Patrz, jaki ten Londyn!

Wobec wspaniałej katedry Krysia znów oniemiała. Stał przed nią kościół majestatyczny jak góra, a jednocześnie lekko jakoś zrobiony, można by myśleć, że z koronki. I też cały był w misternych kolcach, jakby w czarnych promieniach. Purpurowe zachodzące słońce rzuciło na te mury swe światło i wśród czarnych ścian zajaśniało nagle moc okien kolorowymi szybami.

- O Jezu Maria! A z czego to zrobione, Marcin?

- Wszystko z kamienia. Ale powiedz sama. Czy to nie jest dumne? Czy to nie jest wspaniałe? Czy w Łowiczu jest taka rzeka? Czy w Łowiczu jest taki pałac? - pytał, bo Krysia była z Łowicza.

- Pewno że nie ma - rzekła na to z wahaniem. - Zresztą ja dobrze nie pamiętam, bo byłam jeszcze mała. Ale tatuś mówi, że tam jest rzeka. I jakiś pałac jest. Kościół też jest. Tatuś nawet powiedział, że w Łowiczu bardzo ładnie.

Po małej chwili dodała:

- Ale każdy zawsze lubi się chwalić swoim.

Gdy to powiedziała, Marcin spojrzał na nią uważnie i nagle stanął. Potem znowu zaczął iść, ale nieco prędzej.

- O, co za głupiec ze mnie - o, co za głupiec!

- Bo co? - spytała Krysia.

- Bo nic. Ty tego nie rozumiesz. Nie mogę ci wcale powiedzieć.

- No, to powiedz - odrzekła Krysia, bo była dziewczynką.

- Masz tobie. Mówię, że nie powiem.

- No, to powiedz - powtórzyła cierpliwie Krysia.

- Dajże spokój! I musimy już wracać. Spóźnimy się na Charles Square.

- O, prawda! Pani się będzie gniewać. Już prawie ciemno.

Ruszyli naprzód tak spieszenie, że nie mogli nawet rozmawiać.

W końcu dotarli do autobusu i wleźli na górny pomost.

- No, to powiedz teraz - naparła się znów Krysia.

- A ta bez końca swoje. Boże, jak ja nienawidzę dziewczyn.

- To po co ze mną tu przyszedłeś? Ja wcale nie miałam chęci. Nie wiem, po co mnie zaciągnąłeś.

- Ona nie miała chęci!

- Mówiłam, żebyś wziął Władka.

- Wcale nie mówiłaś tego.

- Jak to? Nie mówiłam, żebyśmy wzięli dzieciaki?

- To mówiłaś, ale to co innego.

- To jest to samo.

- Jakaś ty niemożliwa.

- A ty jaki zarozumiały.

- Możliwe...

- I brzydki.

- To nieprawda.

- No, czy nie zarozumialec! Chciałby od wszystkich być lepszy!

- Nieprawda! Chciałbym być lepszy, ale nie od wszystkich, tylko od siebie samego.

- O, jaki mądry!

- A ty jesteś zła!

- Boże, co za chłopaczyno!

- Wstrętnica!

Odwrócili się od siebie śmiertelnie obrażeni.

Marcin pogrążył się w smutnych myślach, zapominając na razie o Krysi. Przedtem wcale go te rzeczy nie obchodziły. Ale teraz tak się wszystko poukładało, że coraz częściej prześladowała go myśl, kim on jest.

Myślał, że jest Anglikiem.

Przyprowadził tu Krysię, żeby jej pokazać piękność Anglii, wspaniałość Londynu.

Ale czy miał się czym pysznić?

Czy miał prawo pysznić się wspaniałością Anglii?

Nie tak dawno w jego angielskiej szkole nauczyciel mówił do chłopców:

- Moi kochani. Na każdym miejscu w tym kraju wasi ojcowie, wasi dziadkowie i ojcowie tych dziadków, aż od początku dziejów Anglii, przelewali krew i oblewali się potem. Pracowali, żyli i umierali na to, żebyście wy mogli być dumni z tych miast i wsi, z piękności, z bogactwa, z potęgi ojczyzny, w której wy znów będziecie pracowali.

No to z czegoż, on, Marcin, ma być dumny? Jego dziadowie nie pracowali tu, nie byli tu nawet nigdy. Więc chyba nie jest Anglikiem.

Tymczasem trzeba było wysiadać.

- Dajże mi rękę, Krysiu.

- Wcale nie potrzebuję.

Zawsze kiedy dzieci się pokłóca, musi stać się coś złego. Tak się stało i teraz.

Krysiu, chcąc uniknąć ręki Marcina, skoczyła tak nierozważnie, że upadła na przejeżdżającego cyklistę. Rower gruchnął na bruk, rowerzysta rozciągnął się jak placek, Krysiu rozciągnęła się koło niego - jak drugi. Policjant podniósł do góry rękę i wstrzymał ruch ulicy.

- Nie zrobiłaś sobie nic złego? Co? Nie zrobiłaś? Nie zrobiłaś?

- Nie, tylko coś mi się takiego zrobiło w nogę. A temu panu co się stało? Podnieś go, Marcin. Podnieś.

Lecz zanim dobiegł z policjantem, rowerzysta powstał sam i podniósł rower. Uchylił czapki spoglądając ponuro i niemo. Policjant prosił go o prawo jazdy, a Krysiu wołała:

- To ja wpadłam na tego pana. Spytaj go, Marcin, co mu się stało?

Rwetes uliczny toczył się swobodnie przez jezdnię i zagłuszał ich głosy.

- Czy się panu coś stało? - krzyczał Marcin. Fala przechodniów zaczęła ich rozdzielać. Wspinając się na palce, zobaczył jeszcze spoza ludzi nieznanego rowerzystę, który na koniec rozjaśnił pełne zgrozy oblicze i zawołał, jakby przychodząc do siebie:

- Już wszystko dobrze. Już teraz wszystko dobrze.

Obróciwszy się w stronę Krysi, Marcin zawrzeszczał:

- Krew?!!

- To nic. To kolano. I łokieć. I nic więcej.

- Boże, gdzie tu apteka? Wezmę cię na rękę.

- Nigdy w życiu. Mnie nie boli.

- To przynajmniej oprzyj się na mnie z całej siły.

- Patrz. Tutaj jest apteka.

Weszli. Stary doktor był akurat sam obecny i przyprawiał lekarstwa. Bo w Londynie w dzielnicach robotniczych doktorzy sami prowadzą apteki.

Teraz przy jasnym świetle okazało się, że Krysiu ma sukienkę rozdartą od góry aż do dołu. Zobaczywszy to zaczęła płakać.

- Czy tak boli? - zapytał doktor.

Potrząsnęła w milczeniu głową.

- Więc może o sukienkę? Cóż to za nieszczęście! Poczekaaj, przyniesiemy tu igły i nici i zaszyjemy tę sukienkę. No, dolly[], nie płakać!

- Ja zaszyję sukienkę - rzekł Marcin - ale my nie będziemy przeszkadzać!

- Nie. Musimy przecież zaszyć sukienkę, żeby nam z niej ta dziewczynka nie uciekła.

Doktor poszedł po igłę, a Krysiu zwróciła się do Marcina. Patrzył w nią nasrożony, jakby się wstydził czy martwił. Widząc to Krysiu wyprostowała się i powiedziała ulegle:

- Ja już nie płaczę.

Potem zdjęła sukienkę, a Marcin okrył ją natychmiast swoją kurtką.

Zaczęli szyć oboje każde ze swojej strony.

Szyli, szyli niebieską sukieneczkę i milczeli spoglądając na siebie spod oka.

W końcu Krysia mruknęła bohatersko:

- Ja już wcale nie chcę, żebyś mi koniecznie powiedział to, co wiesz. Nie gniewasz się na mnie?

- Nie, przecież stłukłaś kolano. Zresztą byłem podły, że się z tobą pokłóciłem. I dlatego teraz powiem ci to, co wiesz.

- Kiedy ja naprawdę już nie jestem ciekawa - wyrzekła się Krysia, ale zaczęła zdrową nogą fikać z ciekawości.

- Ale ja tobie i tak powiem, tym bardziej że tego, że... Bo ty tak mądrze powiedziałaś: każdy się lubi chwalić swoim. Sama nie wiesz, jak mądrze. I przez to ja zawstydziłem się strasznie, że się tak pysznię Anglią, rozumiesz?

- Rozumiem, ale...

- Czekaj. Bo widzisz, to nie moja zasługa, że Anglia jest piękna i potężna. Ani moja, ani mojego ojca, ani pra-pra-pra-pra-pra...

- ...dziadka - dokończyła Krysia i mocniej fiknęła zdrową nogą.

- Tak, bo mój pra-pra-pra-dziadek mieszkał w Polsce, a nie w Anglii.

- No, ja już skończyłam. Pewno, że nie mieszkał w Anglii, ale nie masz się czego wstydzić.

- Ja też zaraz kończę. Ja się też tego nie wstydzę, tylko zdaje mi się - schyl się, to powiem ci na ucho. Zdaje mi się, że ja nie jestem Anglikiem.

Krysia włożyła igłę do ust i zamyśliła się głęboko.

- Nie kładź igły do ust. Jedna dziewczynka połknęła igłę i zaraz jej się coś takiego zrobiło, że umarła.

- Nie kładę. No dobrze, ale przecież możesz spełnić jaki wielki czyn dla Anglii - i wtedy będziesz miał zasługę. Na przykład możesz uratować jakiego Anglika albo...

Przerwał jej niecierpliwie:

- Kiedy nie rozumiesz. Naturalnie, że mogę. Ale chciałbym coś zrobić dla tego kraju, gdzie moi ojcowie pracowali w pocie czoła i przelewali krew. Mnie się zdaje ciągle teraz, że oni dla mnie pracowali, a ja tu żyję z cudzej zasługi - to im jest przykro.

- Co dzieci tak ciągle szepczą? - zapytał doktor. - I czy dzieci trafią w końcu do domu? A może macie czarodziejski dywan, który was zanieśnie? Już zmrok.

- Tak - odparł Marcin - Już idziemy.

Krysia przestraszyła się.

- Tak, już naprawdę ciemno. Mój Boże, co pani na nas powie!

- To co, że ciemno - ja i tak trafię. Stąd wcale nie tak daleko.

- Chodźmy, chodźmy, chodźmy! - nagliła Krysia.

- Do widzenia panu doktorowi! Mam gwizdawkę bardzo ładną. Można ją panu podarować czy nie można? Czy pan by przyjął? Bo ja nie mam nic więcej.

- Nic nie przyjmę, młody człowieku - zaśmiał się doktor. - Nie miałbyś czym wystraszyć smoka, gdyby chciał zjeść twoją małą księżniczkę - i doktor zatoczył oczyma i zakłapał zębami po smoczemu.

Marcin gwizdał ze wszystkich sił, a Krysia piała z uciechy. Smok wynurzył się rycząc spod lady, a potem stanął na dwóch nogach i chciał dać dzieciom cukierków od kaszlu, były to bowiem jedyne słodczyce, jakie, znajdowały się w aptece.

- Nie mamy kaszlu - rzekł Marcin z żalem. - A zanim go dostaniemy, zjedlibyśmy na pewno cukierki.

- Może dostaniemy kaszlu - zaniepokoiła się Krysia, lecz Marcin spojrzał na nią ostro.

- Ależ nie. Skądże? Do widzenia panu!

Poszli co żywo dalej, skręcili w bardziej odludne zaułki.

Na dworze była już noc.

Z ciemności wyskakiwali ludzie na małe kręgi światła od latarń i znów znikali w mroku. Wszędzie pełno było tupiących cieni. Krysia nie mogła iść bardzo prędko z powodu kolana. Wlokła się trochę niezgrabnie z ręką w dłoni Marcina.

Powiedziała do niego:

- To nieprawda, co mówiłam o Władku. Ja bardzo chciałam z tobą iść...

Marcin ścisnął mocniej jej rękę. Po chwili stanął i zapytał ponownie:

- Może cię ponieść?

- Nie, coś ty! Tylko ten bandaż przeszkadza.

Lekcja dobiegała do końca, gdy się pojawili pąsowi ze zmęczenia.

- Przyszli! Przyszli! Przyszli! Nic im się nie stało. Proszę pani - wrzeszczały wszystkie dzieci, podskakując na ławkach.

Pani surowo, z natężeniem, prawie boleśnie patrzyła na dwoje zbiegów.

Na koniec rzekła:

- Cóż to znaczy?

- To ja... - bąknęła Krysia.

- Nie, to ja... - rzekł Marcin i urwał.

- Ależ widzę; że to wy. Ale gdzieście się podziewali?!

- To przeze mnie, proszę pani. Bo mi sukienka pękła.

- Pękła? Tak się mówi?

- Rozdarła się. I kolano mi się stłukło...

Tu polały się łzy.

Marcin zawołał po angielsku:

- Nie rozumiem, czego Krysia płacze. Niech pani się na nią nie gniewa. To ja ją zaciągnąłem jak jaki głupi.

- Pewno, że nie zrobiłeś nic mądrego. Ale dobrze... Siadajcie i zachowujcie się jak należy. Krysiu, przestań zaraz płakać. To ja powinnam płakać, że mam takie niedobre dzieci. Marcin zostanie po lekcji i opowie mi, coście zbroili.

Pani rozpogodziła się i lekcja szczęśliwie potoczyła się dalej.

Lecz Marcin miał ciągle złe przeczucia.

I nie omylił się.

Na do widzenia pani rzekła:

- Od jutra zaczniemy uczyć się śpiewać i pokazywać jasełka. Na święta urządzimy tu przedstawienie.

Zwróciła zimny wzrok na Marcina i powiedziała obojętnie po angielsku:

- Ty, Marcin, nie nauczyłeś się jeszcze dosyć po polsku, więc niestety nie możesz należeć do jasełek.

- Yes, madam[] - odrzekł wstając.

Potem dzieci odeszły, a on pozostał, tak jak mu pani kazała.

Władek pocałował go przechodząc, aby mu dodać odwagi.

Lecz pani za to zdawała się go wcale nie widzieć i poprawiała coś w zeszytach; nie podnosząc głowy spytała:

- No więc? Gdzież to pan „zaciągnął” Krysię zamiast przyjść z nią na lekcję?

Marcin początkowo chciał opowiedzieć wszystko, jak było. Wyznać także swe wątpliwości. Bo był pewien, że pani go nie tylko zrozumie, ale że bierze jakiś tajemniczy udział we wszystkim, co on czuje. Lecz skoro ona wcale na niego nie patrzy! Skoro go wyłączyła z przedstawienia!

Przejęty żalem, odpowiedział nieszczerze:

- Pokazywałem Krysi Tamizę i parlament. Chciałem, żeby zobaczyła, jaka piękna jest moja Anglia. Dokazał jednak czegoś.

Pani podniosła głowę i patrzyła na niego bardzo długo, tak bardzo, że się aż zaczerwienił.

Wreszcie rzekła:

- No, dobrze - i uśmiechnęła się. Tak jest. Uśmiechnęła się wtedy, gdy jemu serce się z żalu krajało!

Po chwili podała mu jeden z zeszytów.

- To jest - powiedziała - twoje ostatnie dyktando. Znacznie lepiej napisane. Prawie zupełnie dobrze.

Marcin uklonił się i odszedł. Schodził ze schodów z ciężkim sercem.

W sieni po ciemku czekała na niego Krysia.

- Kto tu?! - wykrzyknął zaskoczony.

- To ja. Tak się tu bałam. Tu są myszy. Powiedz! Krzyczała na ciebie?

- Nie, wcale się nie gniewała. Wiesz, ona jest chyba bez serca!

- Nie gniewała się i bez serca? Co ty gadasz?!

- Co ja gadam? - zapytał Marcin. - Ja nie wiem.

Był zrozpaczony. Był smutny jak nigdy w życiu. Jakież to trudne rzeczy są na tym świecie. Nie wiedział teraz, czy kocha Anglię, czy panią, czy Krysię, czy Strzałkowo, do którego tak pragnie pojechać ojciec. Czy można kochać to wszystko - to wszystko razem?

copyright © 2002

Wszystkie prawa zastrzeżone

Marcin Kozera

Dzieci uczą się jasełek

Nadciągnął grudzień. Króciutkie dni i olbrzymie wieczory szły jeden po drugim, jeden po drugim.

Dzieci uczyły się jasełek po odbyciu właściwej lekcji, a potem wracały do domu już koło dziewiątej wieczorem. Po prostu w nocy, bo przecież w grudniu koło dziewiątej to już głęboka noc, na dworze czarno jak w kominie, a w ich ubogiej dzielnicy bywało nawet już pusto.

- Jak ja szedłem wczoraj do domu, to mówię ci, było tak ciemno! I koło muru tak się ktoś skradał. Nic, tylko tak ci się ktoś skradał - mówił Leon.

- Ale u nas jest ciemniej na Kościelnej. Tam są domy wysokie takie. O takie! - Stefan wszedł na ławkę i pokazał ręką, jakie wysokie są domy. Potem dodał:

- Od tego tak jest ciemno.

- Bałeś się? - spytała Zosia Leona.

- Jeszcze by - kogo?

- No, tego, co się skradał?

- Ja bym się bał! Dałbym mu w łeb!

- A jeśli to był jaki chłopiec?

- Śpiewamy - rzekła pani podnosząc głowę znad wielkiej, kolorowej książki, w której coś wyszukiwała.

Było to w dużej sali Domu Polskiego. Pianino stało na środku, lśniąc od światła jak srebrne.

Wnet zabrzmiały pierwsze akordy - pani grała początek.

Dzieci stały za nią półkolem.

- Jakby to był jaki chłopiec, no to by się nie skradał - rzekł szeptem Leon.

- Tam - skradał się! Koło nas mieszka jeden, co ma szczudła. To dopiero jak ci zaczniesz po ciemku chodzić - szeptał gorączkowo Wicek.

- To jak ci weźmie w gębę węgiel taki czerwony...

- Ja potrafię to samo, wielka rzecz - szepnął Felek. - Mogę zapaloną zapałkę trzymać w zębach.

- Zakład?

- Dobrze, zobaczysz.

Po czym wzniesli wysoko oddech i zaśpiewali:

Wędrowali trzej królowie
zza dalekich mórz,
nie widzieli, że za nimi
idą łany zbóż...

Teraz najstarsza dziewczynka, Wanda, córka zecera, która uczyła się muzyki, zastąpiła panią i grała do śpiewu, a pani dyrygowała chórem dzieci.

Nie wiedzieli, że do szo-o-py...

- Pauza. Równo, dzieci. Jak jeden głos. Tu ciszej. O, tak. Teraz podnieście głos.

...że do szo-o-py
wszystkie nasze wałą chło-opy
na tę-ę ja-asność zórz.

- Coraz ciszej. Cichutko. Razem kończyć. Głosy muszą iść jak żołnierze w szeregu. Ani jeden nie może pozostać w tyle. Ani jeden nie może się wysuwać naprzód.

- O, tak. Tak się nazywa śpiewać „unisono”.

- A co Marcin tam robi?

To ostatnie pytanie pani rzuciła poza siebie, widocznie widziała, co się dzieje naokoło.

Marcin według umowy miał przed rozpoczęciem śpiewu odejść do domu. Szedł zatem powolutku w stronę drzwi, a potem niby to drzwi otwierał, lecz w istocie rzeczy stał tylko przy nich, stał tak od dawna, trzymając ręką klamkę.

Pani odwróciła się i spojrzała na niego, kiedy się najmniej tego spodziewał.

- No? - zapytała.

- Ach, pani pozwoli tu być - rzekł z trudem, ale po polsku.

- Tak, nic nie rozumiesz i będziesz wyprawiał te twoje śmiechy. Jesteś taki śmieszek. Lepiej idź sobie. Nie umiesz cicho siedzieć i słuchać, a śpiewać nie możesz - rzekła z wahaniem.

Marcin złożył ręce.

- Ja się nauczę. Ja się nie będę śmiał!

- Już się śmiesz - rzekła pani i sama śmiała się bardzo.

- No to śpiewaj! - zawołała wśród tego śmiechu.

Marcin przybiegł natychmiast, a razem z nim pędziło warcząc pchnięte krzesło.

- Spokojnie, spokojnie - mitygowała pani.

Lecz dzieci skręcały się już z uciechy, a Władek stanął na rękach i trząsał butem o but, co potrafił równie dobrze, jak spadać i wpadać, gdzie nie trzeba.

- Władek! Władek! Bo ci każę tak, stać za karę przez całe śpiewy.

Głowa i nogi Władka znalazły się błyskawicznie na przeznaczonych sobie miejscach - wszystko wróciło do porządku.

Zabrzmiała nowa pieśń - pieśń górala.

Hej, stoi Krywań siwy -

hej, wicher po nim miecie.

Marcin pośpiewywał samą melodię bez słów.

Lecz na drugi dzień łapał już sylaby, a po kilku dniach śpiewał już całe zwrotki.

- Umiesz już? - pytała pani. - No to powiedz.

Lecz on powiedzieć nie umiał. Umiał tylko zaśpiewać.

Kiedy spróbował mówić, pani się mocno zaczerwieniła, gdyż tak przekręcał słowa, że trudno było zrozumieć.

- To trudne - rzekł ze łzami w oczach, widząc przerażenie na jej twarzy.

Wtedy pani pozwoliła dzieciom się bawić, a Marcinowi poświęciła całą godzinę czasu. Łagodnie, po cichu wytłumaczyła mu całą jedną pieśń, poprawiła wymowę, kazała to napisać.

I tak jakoś szło.

Pod koniec tej nauki wynikła sprawa o to, żeby dodać w jasełkach jeszcze jedną scenę - scenę z żołnierzem. Pani długo namyślała się nad tym. Na koniec rzekła:

- Tu jeszcze brak żołnierza. W tej książce, z której uczymy się śpiewać, nie ma nic o żołnierzu, który walczy za wolność.

- A po co nie ma w tej książce o żołnierzu?

- Nie „po co”, „dlaczego” albo „czemu”.

Dzieci, poprawione w ten sposób, oglądnęły się z dumą na Marcina. Chciały mu być we wszystkim równe, chociażby w nieumiejętności mówienia.

Pani przez ten czas mówiła dalej o tym, że książka, z której uczą się śpiewać, wyszła w Warszawie.

- Rząd rosyjski, który tam panuje nie pozwala przypominać o żołnierzu polskim nawet w książce, nawet na przedstawieniu w teatrze - wyjaśniła.

W tejże chwili teatr przeobraził się dla dzieci w miejsce boju z nierozumnym najeźdźcą. W tych czasach mówiło się już dużo o żołnierzu polskim i o niepodległości. Ojcowie powracali z Towarzystwa Polskiego, mając na ustach rozmowę o tych rzeczach. Dzieci niejedno słyszały. Dzieci chciały mieć żołnierza w jasełkach. Dzieci były gotowe bić się z tymi, co nie pozwalają mu być ani nawet w teatrze i ani nawet w książce. Cóż stąd, że ziemia, o którą walczyć trzeba, jest tak daleko. Wyspa Robinsona Cruzoa jest jeszcze dalej, a ktoś by nie chciał tam pojechać i walczyć w obronie Robinsona - i ktoś jej, ktoś jej nie kocha!

Takie rzeczy trudno jest słowami powiedzieć. Ale od takich właśnie uczuć huczały w milczeniu serca wszystkich dzieci, nie wyłączając Marcina. Pani poznała to po rozżarzonych oczach i upewniła się, że przedstawienie to nie będzie częścią zabawy, lecz pałającym życiem.

Wobec tego podała swoją myśl.

- Żołnierza tego - rzekła - wprowadzimy do jasełek w ten sposób, że damy obraz z jednej piosenki. O, z takiej - siadła do fortepianu i przygrywając sobie, zaśpiewała mazurka, który się zaczyna od słów:

Jeszcze jeden mazur dzisiaj,
nim dzionek zaświta.
Czy pozwoli panna Kryśia? -
młody żołnierz pyta...

Dalszą treścią piosenki było to, że podczas kiedy żołnierz tańczy z panną Kryśią przejęty miłością i uciechą, z daleka rozlega się głos pobudki, który wzywa do boju. Trzeba natychmiast porzucić wszystko to, czym serce tak bardzo się raduje, i odejść w zupełnie inną stronę - w stronę obowiązku i służby. Idzie się w stronę tę z żalostí pożegnania, a jednak serce jest uszczęśliwione, uszczęśliwione bez granic.

Gdy treść ta została należycie wyjaśniona, wszczął się zgiefk.

- Zrobimy to tak, że kilkoro dzieci będzie tańczyć w głębi sceny mazurka, Wicek i Felek zrobią za sceną bitwę, bo oni do tego jedyni! - wołała pani.

- Ja go wytnę!

- Ja bym ci dał. Jakbym cię rymnął!

- A ja was wtedy wyrzucę i będzie koniec!

- Nie, nie, nie. Ale pani nam powie, co mamy robić?

- Ma się rozumieć, że powiem. Stefan zatrąbi pobudkę. Tylko nie teraz, na Boga! Poczekaaj, dostaniesz prawdziwą trąbkę.

- Oj, kiedy? Oj, pani! Jak ja trąbnę!

- Ale kto będzie żołnierzem?

- Oj, ja! Oj, my! Oj, wszyscy!

- Na rany boskie, macie już przecież swoje role!

Tak jest. Wszyscy mieli już swoje role oprócz Marcina. I nagle wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę bez namysłu i nieodwołalnie.

- My chcemy, żeby Marcin był żołnierzem! Marcin Kozera! Marcin Kozera!

- No cóż, mały Angliku? Oni cię chcą zrobić polskim żołnierzem. Cóż ty na to! Cóż ty na to? - pytała pani, uśmiechając się trochę niezrozumiałym uśmiechem.

Mały Angliku, tak powiedziała, mały Angliku! Słyszac te słowa Marcin nie wiedział, czy go one ubodły, czy go zmartwiły, czy może wbiły w dumę. Nie było jednak czasu na rozpoznawanie swych uczuć. Trzeba było dać tu swoją odpowiedź.

Podszedł cokolwiek bliżej i powiedział surowo:

- Yes, madam[] - po czym znów się odsunął.

- Czy to oznacza, że dobrze? - pytała pani, śmiejąc się już wyraźnie.

- Tak jest! - odparł po polsku.

Teraz rozstrzygano sprawę panny Krysi. Jeżeli jest prawdziwa Krysia, to ktoś inny może być Krysią? Krysia jest w jasełkach jednym z aniołów, ale scena z żołnierzem będzie na samym końcu, anioły nie będą brać w niej udziału, więc jeden z nich niechże tańczy z Marcinem.

To postanowienie rozjaśniło oczy Marcina. Tak, w takim razie to nie są żadne żarty. Ani też drwiny. Zaczął się jawnie cieszyć. Krysia będzie z nim grała. Cóż to za radość!

I zarazem tak dziwnie. On dotychczas ciągnął te dzieci tu i ówdzie za sobą, a wtem one go nagle otoczyły i pociągnęły. O ileż to większa przyjemność. Nie mieć ich zawsze za sobą, tylko być między nimi w środku, razem, zupełnie razem, w czymś takim śpiewającym i przyjemnym, w takim wesołym przedstawieniu!

- No i cóż? - rzekła pani, gdy się już rozchodzili. Powiedziała te słowa z daleka, lecz najwyraźniej do Marcina.

Chciał odpowiedzieć dziękuję, ale nie mógł wymówić żadnego słowa. Uśmiechnął się tylko i z daleka żarliwie się uklonił.

Od następnego dnia wszystko przeniosło się pod dach na facjatkę. Tam krawiec, pan Koskowski, i znajoma nauczycielki, panna Halina, pracowali nad kostiumami.

Panna Halina przeistaczała kawałki perkalu i bibułki w prawdziwe cuda.

- Proszę pana - mówiła do pana Koskowskiego, rozciągając przed nim fiołkowy anielski płaszcz - proszę pana, tu trzeba naszyć te żółte lilie, które wycięłam.

- To to mają być lilie? To wygląda jak jakie palce...

- Niech będą palce. Pan mi to ślicznie naszyje.

- Naszyć naszyję. Ale żeby tak pani chciała posłuchać. Ja bym absolutnie żółtego na fioletowe nie kładł - mówił Koskowski niedowierzająco.

Ponieważ był już gwałt, wszystkie dzieci siedziały przy swoich kostiumach szyjąc i klejąc; wszystkie były czerwone, podniecone i niespokojne. Z chłopców szył tylko Marcin, gdyż inni okazali się pod tym względem niezdarami, co ich od razu zniechęciło. Ale Marcin miał doświadczenie. Czyż nie zeszywał Krysinej sukni? Toteż szło mu niezgorzej.

- Well, my boy[] - mówił nawet z tego powodu pan Koskowski.

- Well, jak będę w Warszawie u Hersego, wezmę cię na pomocnika. Masz chleb w ręku, mon ami[]. Ty się śmiejesz, smarkaczu. Donnerwetter noch a mal![] Herse już po mnie dwa razy depeszował.

Pan Koskowski przewędrował z pół świata i mowa mu się pomieszała od używania tak wielu różnych języków. Ale właśnie dlatego dzieci lubiły go słuchać. Mówił zabawnie, mówił jak na przedstawieniu. Gdy czasem powiedział kilka zdań bez obcego wyrazu, czuły się zawiedzione i oszukane i nagabywały go dalej, aby mogły się śmiać uszczęśliwione. Teraz też one się śmiały, a nie

Marcin. Przeciwnie, jemu się zrobiło nieprzyjemnie i smutno. Zdawało mu się, że grozi mu coś przykrego. Pod wpływem niewyraźnego lęku powiedział:

- Pójdę zobaczyć, czy pani nie trzeba pomóc.

Pani była w sali. Stała w milczeniu i przypatrywała się dekoracji. Widząc ją, Marcin poczuł się bardziej bezpieczny, mimo że nawet nie zauważyła jego wejścia.

Dopiero po chwili obejrzała się i zapytała stroskanym głosem:

- Czego chciałeś?

Marcin zapytał:

- Tak jest w Polsce?

- Tak - odparła. - Zima. Śnieg, śnieg.

Dekoracja była bardzo prosta, nawet uboga.

Kawał granatowego perkalu na ścianie był niebem zimowej nocy. Duże złote pluskiewki tu i tam powtykane - to były roje gwiazd. Biały perkal naszyty u dołu przedstawiał śnieżne pole. Na granicy nieba i pola widać było las pod śniegiem i różowe światełka wsi - wszystko z kawałków materii.

Od tego ubogiego widoku wiało mrozem, śniegiem, nocą Bożego Narodzenia, wiało czymś, czego Marcin Kozera nie znał. W Londynie śniegu się nie widuje. Wpatrywał się zażarcie w ten krajobraz, owładnięty gorącym wzruszeniem, jakie chwyta nas wtedy, kiedy widzimy coś po raz pierwszy. Nagle poczerwieniał i zwrócił się do pani.

- Ach, pani - rzekł porywczo. - Ja się tak martwię. Proszę pani, co robić, żeby wiedzieć, kim jestem? Kto ja jestem? - i złożył ręce, jakby prosił o wyjaśnienie tajemnicy.

Pani zdawała się znać tajemnicę, lecz jej nie powiedziała.

Położyła Marcinowi na ramieniu swą lekką dłoń. Długo nie mówiła, nie mówiła, wreszcie rzekła:

- Bądź, dzielnym człowiekiem. To wystarczy, żebyś poznał, kim jesteś, kiedy będzie potrzeba. Tylko dzielnym człowiekiem.

Marcin wytrzeszczył oczy.

- Nie, to dla mnie za mądre - rzekł zgnębiony. - Nie rozumiem. Ja muszę wiedzieć wyraźnie.

Pani zaśmiała się.

- To nie jest wyraźne? - spytała. - Ale chcesz być przecież dzielnym człowiekiem?

- No tak.

- Mówię ci. Nic więcej nie potrzeba.

Marcin Kozera

Przedstawienie

W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia trudno było poznać wielką salę Domu Polskiego. Ściany zastawione wielkimi gałęziami świerku przeistoczyły się w pachnący bór, a ludzie zalegli gromadami wszystkie kąty. I oto nie tylko nasi ludzie z dzielnicy robotniczej! Przybyli także polscy studenci, niektórzy przyjechali aż z Oksfordu. Pojawili się nieznajomi panowie i panie z zachodniej dzielnicy Londynu, poodziewani w stroje, w futra i w pióra.

Wszyscy chcieli zobaczyć, czego dokażą dzieci ze szkoły na Charles Square.

Kurtyny wcale nie było. Goście patrzyli na scenę, gdzie w przyćmionym świetle połyskiwały gwiazdy.

Zanim zdążyli się wszystkiemu przypatrzeć, rozległ się zamiast dzwonka potoczysty głos trąbki.

To Stefan grał za sceną hejnał, ten sam, który wygrywa się w Krakowie z Mariackiej wieży. W dzisiejszym czasie ten dźwięk jest jedną z wielu muzyk rozlegających się po kraju, ale przed pierwszą wojną europejską brzmiało to jakby głos niedozwolonej wolności. Dały się słyszeć westchnienia.

Tylko ojciec Marcina rzekł głośno:

- To nie Marcin. On będzie żołnierzem.

Pan Koskowski mruknął:

- Cicho. Ja sam szyłem mundur, a nic nie mówię.

Gdy Stefan skończył, wołano: „Bis, jeszcze raz!”, gdyż uważano to za część przedstawienia.

Stefan bardzo chętnie zatrąbił jeszcze raz i nawoływanie hejnału obiegiło znowu salę pozłocistymi tonami. Lecz potwór Stefan pokpił sprawę i na ostatniej nucie sfalszował tak, że pani, stojąca za drzwiami, aż usiadła. Ale pomimo to wszystkim się znowu podobało.

Gdy tylko trąbka przebrzmiała, wkroczyli na scenę chłopcy z olbrzymią, purpurową gwiazdą i ustawiali się przez chwilę na scenie, cokolwiek popłoszeni.

Prędko jednak odzyskali władzę nad sobą, znieruchomieli i wielkim głosem, jak prawdziwi pasterze zaśpiewali:

A wczora z wieczora, a wczora z wieczora,
z Niebieskiego Dwora, z Niebieskiego Dwora
przyszła nam nowina...

Zanim skończyli, ktoś zawołał:

- Patrzcie tu, na anioły!

Anioły zjawily się cichaczem. Pasterze obejrżeli się i rozstąpili, a one wystąpiły na przód sceny.

- Ten w środku to będzie archanioł! - wołano z głębi.

Owym archaniołem była Wandzia. Miała na sobie powtórzystą szatę fioletową w pomarańczowe lilie. Jej wielkie, różnokolorowe skrzydła rozciągały się na pół sceny. Na ten widok zapytywano z sali:

- Jak też to te skrzydła we drzwiach się pomieściły?

Ma się rozumieć, nikt na to nie odpowiedział. Trzeba było uważać, toby się zobaczyło.

Mniejsze anioły stały po bokach archanioła, całe w białym, ze skrzydełkami w pawie oka. I śpiewały:

Mizerna, cicha
stajenka licha
pełna niebieskiej chwały...

Ukończywszy tę pieśń, wspaniałymi krokami skierowały się na lewą stronę sceny i pokłękaly. Pasterze pokłękali tak samo na lewej stronie i wszyscy razem zaśpiewali poważnie:

Anioł pasterzom mówił
Chrystus nam się narodził...

Drogą, która się w ten sposób pomiędzy nimi utworzyła, wkroczyli teraz królowie monarchowie przy dzikich głosach piszczałek i bębenka. Tupali z całych sił, a na ostatek po najmocniejszym tupnięciu krzyknęli:

Bóg się rodzi, gwiazda wschodzi,
trzej królowie od wschodu
z serc darami, z ofiarami,
każdy swego narodu.

Na co anieli odparli wielkim głosem:

I my tam idziemy
i pokłon niesiemy.
Stąpajcie za nami
śnieżnymi drózkami.

Zabrzmiały dźwięki pianina (to pani), aniołowie, pasterze i królowie krzyknęli razem:

Pójdźmy wszyscy do stajenki,
do Jezusa; do Panienki,
powitajmy Maleńkiego
i Maryję, Matkę Jego.

Ruszyli pięknym korowodem i by nie zniknąć za prędko, trzy razy okrążyli maleńką scenę. Przez ten czas widzowie przechylali się na tę stronę i na tę, aby jedni przez drugich oglądać swoje dzieci.

- Patrzcie, patrzcie - mówili. - Wicek!
- Tam w tej czapie - kto to? To Władzio?
- Widzisz Nacię?
- A ten czarny taki?
- To król murzyński.
- Przecież to Leon. Rany Boskie! Żeby się tak odmienić!
- Tam idzie Felek. Widzę go.

- A gwiazdę to niesie mój Stefan. Od razu mówił, że najpierw będzie trąbić, a potem, że ma nieść gwiazdę.

Ojciec Marcina zapewniał swych sąsiadów:

- Mówił, że długo nie będzie wychodził. A potem wyjdzie. Trza czekać. Mówił, że to dopiero na samym końcu.

Korowód znikł z hałasem za drzwiami. Tam wszyscy runęli na łeb, na szyję do szatni, żeby się poprzebierać na drugą część.

- Uważaj - krzyczał anioł - bo mi złamałeś skrzydło!

- Przedziurawiłeś gwiazdę! Kto ją będzie zalepiał?

- Ady, ady! - anielski płaszczył się drze!...

- Prędeż, prędeż, prędeż! - nagiła pani.

Teraz na scenę wchodzi cała Polska.

Oto lekkim, tanecznym krokiem nadchodzi Góral z kobzą. (Wyobraźcie sobie, udało się wtedy pożyczyć prawdziwą kobzę od szkockiej orkiestry.)

Ledwo prześpiewał swoją pieśń, gdy tańcząc ruszyli do Pana Boga Kujawiacy.

Panie Jezu - Ty wielka Osobo,
niechże Ci się oberek spodoba...

Lecz wnet wyparły ich Mazury pośpiewując:

Podkóweczki, dajcie ognia...

Od drugiej strony wystąpił cichy i szary Pińczuk ze swoją rzewną pieśnią:

A ta gwiazda złota
pukała we wrota,
usłyszał ją Pińczuk w borze,
wylał ze swego błota...

Gdy pocłapał, by ofiarować Panu swój więcierz ryb, na scenę przybiegli Krakowiacy i zatańczyli.

Ma się rozumieć, że wszystkim się podobało. Dostali brawo i musieli odtańczyć po raz drugi, po czym wybiegli w podskokach.

Nastała chwila ciszy, po której zagrano pioseneczkę:

Jeszcze jeden mazur dzisiaj,
nim dzionek zaświta...

Ukazała się Krysia i ukazał się Marcin.

- Nie mówiłem?! Nie mówiłem?! - zakrzyknął pan Kozera, lecz grzmot oklasków zagłuszył jego słowa.

Marcin stropił się. On, ze wszystkich najśmielszy, stał nieruchomy w huraganie oklasków i pragnął zapaść się pod ziemię. Przez szum w uszach słyszał, jak inne dzieci tańczyły za nim - tak jak były nauczone i po drodze szeptały gorączkowo:

- Tańczę! Marcin. Tańcz!

Lecz publiczność nie wiedziała, że on ma tańczyć. Myślano, że tak ma właśnie stać. Stał wyprężony na baczność i nad wyraz uroczy. Uważano, że tak jest dobrze. Wobec tego Kryśka też nie tańczyła. Trzymali się tylko za ręce.

Pani widziała to wszystko przez świerki, za którymi grała do wtóru piosence śpiewanej przez dzieci. Lecz nie mogła przerywać. Wszystko musi już tak się toczyć, jak się zaczęło. Ale gdy Stefan zatrąbił pobudkę, a chłopcy zaczęli wołać: „do broni!” - serce pani mocno zakolało, gdyż nie mogła przewidzieć, co teraz Marcin zrobi. Marcin miał teraz uklęknąć i pożegnać się z Kryśką. I odetchnął z ulgą.

Marcin to zrobił. Gdy usłyszał głos trąbki, ukląkł i pocałował Kryśkę w rękę. Był rozgniewany i z oczu płynęły mu łzy.

- Marcin, ty płaczesz? Coś ty? To przecież wszystko naumyślnie - szeptała Kryśka.

- Nie, nie - odparł po cichu. - To nie naumyślnie.

Wszystkie dzieci wrzeszczały: „do broni!” - aż póki głośne akordy fortepianu nie przeistoczyły ich krzyku w pieśń. Śpiewali zgodnie:

Hej, trąb, hej, trąb, strzelecka trąbko, w dal!

Goście wtoczyli się na scenę, śpiewając razem z dziećmi:

Hej, trąb, hej, trąb, strzelecka trąbko, w dal!

Wielu z tych ludzi - to byli wygnańcy, którzy nie mogli wrócić do Polski jak długo była w jarzmie niewoli.

Teraz wydawało im się, że przy dźwiękach tej dziecinnej piosenki wkraczają w granice swej ojczyzny jako żołnierze zdobywający wolność.

Serca drżały od przeczuć i nie myliły się wcale.

Była to przecież ostatnia zima przed wielką wojną europejską i już na drugie Boże Narodzenie nie jeden z tych, co tu śpiewali z dziećmi, śpiewał tę samą piosenkę w żołnierskich okopach legionów.

Jakieś panie przytąpały Marcina Kozę i zarzuciły go pytaniami:

- Jak się nazywa; ile ma lat; a czy się dobrze uczy; a czyby chciał... a czy nie... a czy to... a czy tamto...

Ale Marcin był w dalszym ciągu oszołomiony.

Zwykła przytomność umysłu odbiegła go daleko, a w sercu wzrastała rozpacz.

Gdyż stał, gdyż patrzył i nie rozumiał ich pytań.

Wszak już było tak, że rozumiał dobrze po polsku, dlaczego przestał rozumieć? Już kiedy dzieci śpiewały, przestał rozumieć wszystko. Więc rozumiał tylko na co dzień, tylko w szkole, kiedy mówiono do niego powoli i wyraźnie?

Chciał się przemóc, natężył słuch, lecz te panie mówiły tak pośpiesznie. Odbąknął coś pół po polsku, pół po angielsku i palił się ze wstydu. Gdy jeszcze raz o coś zagabnęły - wyrwał się i podbiegł w stronę szatni. Po drodze zatrzymał się, zerwał z głowy czako ullańskie i rzucił je ze wszystkich sił na ziemię, aż potoczyło się przez scenę i skacząc po stopniach, wpadło między ubierających się widzów.

Pani stała tam na krześle, śmiejąc się. Dzieci usiłowały ją za nogi podnieść jeszcze wyżej i pomagały sobie wrzaskiem.

Marcin wleciał nieprzytomny do szatni.

- Czekajcie! Czekajcie! Bo upadnę! Marcin! Hej, chłopcze, co ci znowu jest? Puśćcie mnie, dzieci, do niego!

Marcin, purpurowy i zapłakany, zdzierał ze siebie ułańską kurtkę i szukał swego ubrania, wyrzucając w powietrze chustki, czapki, płaszczyki.

- Na miłość boską! Co ty robisz, chłopaku!

Pani chwyciła go za rękę.

Patrzył na nią, jak gdyby go zdradziła i krzyczał po angielsku:

- Ja nie rozumiem! Ja znowu nic nie rozumiem!

- Jak to, nie rozumiesz, co ja do ciebie mówię?!

- Nic nie rozumiem.

- No, przecież mi odpowiadasz, na Boga!

- Tak! Ale tam do mnie mówili, a ja nie rozumiałem. Stałem jak baran. Nie chcę takiego udawania! Oni myśleli, że ja to wy! Że ja to wszystko umiem, rozumiem! A ja jak papuga! To oszustwo! To podłość! Mam tańczyć, a ja nie umiem mówić!

Pani ścisnęła jego rękę coraz to mocniej i poważniała coraz bardziej, jakby patrzyła na coś bardzo trudnego, czego się jednak nie ulęknie.

Na koniec rzekła mocno:

- No? Już? Wykrzyczałeś się? Duży chłopiec! No, spojrzeć mi w oczy. Tylko bez żadnych wykrętów. Prosto w oczy! Rozumiesz mnie? Czy myślisz, że zrobiłam tobie coś złego?

Marcin odwracał uporczywie głowę. Drżał cały z rozdrażnienia. Pani nie przypomniła mu, że to on sam chciał uczestniczyć w tym przedstawieniu, ale Marcin przypomniał to sobie nagle sam i rękę jego drgnęły w dłoniach nauczycielki. Myślał, że zaraz to powie, lecz usłyszał tylko, jak zapytała:

- Uspokoileś się? Niedobre dziecko, które mnie tak szalenie zmartwiło.

Dzieci zaczęły ich otaczać.

- Ten Marcin! Leon, patrz! Wziął i podał taki ładny pas! - zatroskał się Stefan.

- To nic - rzekł Władek. - Ja jemu zrobię drugi.

- Dlaczego ty nie tańczyłeś?

Powoli zaczynały nieco rozumieć, o co rzecz poszła.

- Marcin, ojej, ty myślisz, że jakby kto do mnie z nagłą zagadał po angielsku, tobym rozumiał? To zaraz mam się martwić? - trafił Wicek jak kulą w płot.

- A ty się tak niedawno uczysz.

- Marcin, przecież ty już bardzo dobrze umiesz po polsku.

- Pani mówi, że my nieraz gorzej mówimy od ciebie - pocieszały go dzieci.

Stał wśród tych pociech trzymany za rękę przez panią i patrzył w ziemię, aż w końcu podniósł zmartwioną czarną głowę i, tak jak chciała, popatrzył jej w oczy.

Było to poważne spojrzenie, po którym pani objęła go i ucałowała. Szepnęła mu, że wszystko będzie dobrze.

To go pocieszyło w głównym zmartwieniu, ale nie we wszystkim, o, nie we wszystkim. Pozostawało tyle przykrości. Pokpił sprawę, zachował się jak dzikus, zrobił awanturę wobec wszystkich dzieci - o, jak niemiło!

Nadszedł do szatni jego ojciec, który dotąd cierpliwie czekał w sieni.

Podał Marcinowi czako ułańskie.

- Upadło ci - rzekł nieśmiało.

Marcin nie patrząc oddał je pani.

Pożegnał się. Wyszli.

W domu ojciec chciał ciągle mówić o przedstawieniu, ale Marcin milczał. Milczał i wzdychał. Położył się teraz spać.

- Możeś ty jaki chory? - pytał ojciec i pokrywał go, czym mógł.

Po czym rozpalili ogień na kominku, usiadł w kącie i zaczął nad synem trochę czuwać. Po jakimś czasie wyjął z ust fajkę i zanucił:

A ny, ny, ny, ny spać -
nie ma kto kołysać.

Myślał, że Marcin już zasnął albo zasypia, ale on nagle ozwał się przytomnie, mówiąc po polsku:

- Co to jest?

- Co takiego, syneczku?

- To, co tatuś śpiewa.

Pan Kozera milczał i palił. Po chwili rzekł:

- Tak mi się przypomniało. To jak twoja mama była jeszcze na świecie, to przy tobie śpiewała. Jak nie chciałaś spać, to ci tymi słowami śpiewała. Ale to nie tu było. Wtedy mieszkaliśmy w Camden Town[].

Zamilkł. Po chwili Marcin rzekł:

- Niech tatuś to zaśpiewa jeszcze raz.

Pan Kozera zaśpiewał jeszcze raz:

A ny, ny, ny, ny spać -
nie ma kto kołysać.

copyright © 2002

Wszystkie prawa zastrzeżone

Marcin Kozera

Marcin poznaje siebie

Marcin łobuzował się i uczył na przemian, ale pod spodem wesołego życia nurtowały wciąż pytania wcale niełatwe do odpowiedzi. Gniewał się na to.

- Dlaczego - mówił sobie - u wszystkich jest tak zwyczajnie? Każdy wie od początku, kim jest, a ja się muszę tak męczyć.

Raz na lekcji geografii, rano w angielskiej szkole, siedział i nie uważał, pogrążony w tych właśnie myślach. Nie wiedział wcale, że wyjaśnienie wszystkich tych pytań sunie właśnie ku niemu i co minuta jest bliżej.

Nadeszło w chwili, kiedy nauczyciel zaczął mówić:

- Z Niemcami graniczy tu Rosja, a tu Austria. Kiedyś była tu Polska, ale teraz już dawno jej nie ma.

Nie wiadomo jakim sposobem Marcin, który nic nie uważał, usłyszał dobrze te słowa. Było tak, jakby każde z nich uderzyło go prosto w serce. Jak gdyby były mówione do nikogo na świecie, tylko do niego samego, do Marcina Kozery.

Ach! Więc to tak. On się waha i nie wie, czy jest Anglikiem, czy Polakiem, on się tak męczy, a inni powiadają, nie ma po prostu Polski. Jak to? Nie ma tego, co w jego sercu wznieca od całych miesięcy taką burzę?

Poczuł, że został wyzwany. I że trzeba natychmiast odpowiedzieć. To jest ostatnia chwila.

Wszystkie słowa, które mówiła pani, wszystkie marzenia ojca wkroczyły nagle do jego serca i zakłósały nim jak dzwonem na trwogę.

Już wiedział, co znaczy: „Bądź dzielnym człowiekiem”. Już wiedział, co to znaczy, kiedy kraj jest w niewoli. Nie ma wtedy przyjaciół. Ma takich, co mówią: „A teraz Polski już nie ma”. To znaczy, że jego dzieci wolą się stroić w cudze pióra.

Słowa nauczyciela były ostatnią kroplą padającą w serce Marcina już dawno przepełnione.

Kropla padła, serce wystąpiło z brzegów, tak jak rzeka na wiosnę.

Zapłoniony i drżący wstał i znów natychmiast usiadł owładnięty tchórzostwem. Bał się szalenie.

Lecz przezwyciężył się. Wstał po raz drugi. Rzekł głośno:

- Polska jest, proszę pana. Ja jestem Polakiem.

Te słowa były tak dobitne, że wszyscy koledzy obrócili się w stronę Marcina; naturalnie możecie się domyślić, że byli radzi niespodziewanej przerwie.

Nauczyciel był zaskoczony i milczał.

- Ja jestem Polak, proszę pana, czy pan nie słyszy?

- Słyszę. Nie podnoś głosu, mój chłopcze. Nigdy tego nie mówiłeś. Nie wiedziałem nawet, że umiesz po polsku. Marcin spłoszował.

- Uczę się - odparł z jakimś trudem, ale po chwili, pchnięty niepokonaną siłą, zaczął mówić:

- Zresztą to tym bardziej świadczy, że Polska jest, jeżeli przyznają się do niej nawet tacy jak ja. Ja nie umiem dobrze po polsku i mogę być Anglikiem. I kocham Anglię. Ale mój ojciec jest Polakiem. I ja nie opuszczę Polski w nieszczęściu. I nawet wrócę do niej. A ona będzie potem wolna i potężna jak Anglia - i ja będę miał prawo pysznić się nią. Ja ją kocham. Kocham.

Całą tę rzecz Marcin powiedział jednym tchem jak w natchnieniu. Nie wiedział, skąd mu się wzięła. Nauczyciel milczał i chłopcy jakoś nie hałasowali.

Zdawało się, że Marcin odwinął poły jakiegoś płaszcza i ukazał im się nagle w całej swej krasie po raz pierwszy, tak że zostali olśnieni.

Dopiero po chwili nauczyciel rzekł:

- Dziękuję ci. Usiądź. Jesteś dzielnym człowiekiem.

I zwrócił się do całej klasy:

- Chłopcy! Naród, który ma takich synów, zasługuje w każdym razie na szacunek. Chłopcy! Trzy okrzyki dla Marcina Kozery i za pomyślność jego ojczyzny.

I chłopcy krzyczeli trzy razy:

- Heep! Heep! Heep! Hura!

Marcin powracał ze szkoły jak na skrzydłach.

- Kocham ją! - powtarzał bez związku. - Kocham. ją! Kocham ją!

W domu skoczył ojcu na szyję, mówiąc:

- Tatusiu! Tatusiu! Jestem szczęśliwy! Jestem szczęśliwy! Jedziemy do Strzałkowa! Jedziemy do Strzałkowa!

- A co, możesz wygrać na loterii? - pytał ojciec ze śmiechem.

- Wygrałem! Wygrałem! Wygrałem, tatusiu! Daleko jeszcze do wieczora?

Było jeszcze dosyć daleko, ale Marcin nie mógł wytrzymać. Na długo przed otwarciem Domu Polskiego siedział przed nim na ławce, gwizdząc i oczekując.

Podczas lekcji powiedział do Krysi:

- Już wiem, kim jestem. Czy będę mógł się ożenić z tobą, jak dorosnę?

- Naturalnie - odparła bez namysłu.

- Tak - mruknął z zarożumiałością prawdziwego chłopca - ale ty byś pewnie powiedziała to samo, gdybym był Anglikiem.

- Wcale nie. My niedługo wyjedziemy stąd do Łowicza. Więc bym cię wcale nie znała, gdybyś był Anglikiem.

Marcin zbladł. Rzekł spiesźnie:

- Poproszę ojca, żebyśmy też zaraz jechali do Strzałkowa. Czy to daleko od Łowicza?

- Marcin, Marcin! Co się znowu stało! Cóż to za rozmowy? Jest lekcja - ze zdumieniem przerwała im pani. - Chodź tu zaraz. Pokaż to, coś miał napisać.

Marcin wyszedł i pokazał swoje zadanie.

Pani spojrzała na godzinę, rzekła do dzieci:

- Możecie już iść. Już siódma - i pochyliła się nad ćwiczeniami Kozery.

W hałasie, który powstał, Marcin zbliżył się do pani i szepnął:

- Bo ja już, proszę pani, wiem, kim jestem... Bo dziś w angielskiej szkole... Jeżeli pani pozwoli, to opowiem. Bo ja już wiem.

Pani położyła mu rękę na ramieniu.

- Byłam tego pewna, Marcinie. Już dawno...

- Ale pani wie?... Bo pani mi nie daje opowiedzieć. Pani na pewno wie, kto jestem?

Pani schyliła się do niego i tak samo szeptem, poufnie powiedziała:

- Na pewno wiem.

Wszystkie prawa zastrzeżone